Dzisiejszy numer zawiera 6 stron

OPŁATA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

KUPON PREMJOWY [illegible] III. 34

Prenumerata miesięczna zł. 2·50 z odbiorem w administracji

10 gr.

Rok IV. Kraków, poniedziałek 12 marca 1934 Nr. 71

Pierwsza lista premjowanych Czytelników

ukaże się w czwartek dnia 15 marca

Rozdanie serji premij świątecznych

nastąpi w Wielkim Tygodniu

Premje może otrzymać tylko stały Czytelnik naszego pisma, to też każdy winien wycinać i przechowywać kupony premjowe, zamieszczane w nagłówku gazety.

Kto chce mieć prawo otrzymania premji winien przesłać swój dokładny adres do administracji naszego pisma Kto już zarejestrował się przesyłać po raz drugi adresu nie potrzebuje.

Atak „Lewiatana" na ubezpieczenia

Z różnych stron rozpoczęły się teraz ataki na ubezpieczenia społeczne. Wszystkie te ataki zmierzają do możliwie szybkiego zwężenia ubezpieczeń.

Najostrzejsze są ataki ze strony „Lewiatana". Nie jest to rzeczą nową. Przemysłowcy oddawna utyskiwali na rzekomo wielkie obciążenie produkcji przez koszta ubezpieczeniowe.

Ze strony miarodajnych i bezinteresownych wskazywano, iż skargi te są nieuzasadnione. Żaden zdrowy warsztat pracy nie jest rujnowany przez ubezpieczenia.

Zainteresowany „Lewiatan" nie przebiera w środkach i w drogach zmierzających do zrealizowania swoich zamiarów. Wszystkie wpływy i wszystkie możliwe zarzuty zostały skoncentrowane, by siła ataku była jak największa.

Jednym z takich próbnych balonów jest puszczenie wiadomości, jakoby ubezpieczenia społeczne miały być na rok zawieszone. Odpowiedni memorjał przygotowują sfery gospodarcze i pragną uzyskać oczywiście nie zawieszenia na rok ubezpieczeń, gdyż zdają sobie sprawę z tego, iż są do zbyt daleko idące zachcianki, ale... umorzenia zaległych składek w instytucjach ubezpieczeniowych.

Ataki na ubezpieczenia społeczne muszą zostać z energją odparte.

Na pożegnanie

29 pasorzytów Żyrardowa

Zarządcy Żyrardowa już pracują. Oczekujemy ze spokojem wyników ich pracy. Ani na chwilę nie wątpimy, że zdzierstwo i łajdactwa już bezpowrotnie się skończyły.

Jak Żyrardów był niszczony, świadczą m. in. pensje nierobów cudzoziemców.

Na liście cudzoziemców widzimy nazwisko młodego dyrektora, eks-lotnika Vermeerscha z płacą 96.000 zł. rocznie, Weingarta (72.000 zł.), Bredy (30,000 zł.), kupczyka Caena (96.000 zł.), Grąbczewskiego, który nie nauczył się ani słowa po polsku, choć co rok wkłada sobie do kieszeni polskich złotych 48.000, b. czeladnika rzeźnika, obecnie dyrektora Jespersa z pensją 24.000 zł., technika Billiga (24.000 zł.), b. montera Müllera, obecnie dyrektora z takąż pensją; figurują jeszcze: Buchter (27,000), Baugniet (24,000), Schwar (24.000), Lehrman (21,600 zł.) i in. Jest tych panów prawie 30-tu, prawdziwych pijawek, tuczących się na krwi i pocie polskiego robotnika, którego nawet uszanować nie potrafią! Nie potrafią nawet ocenić współpracujących z nimi funkcjonarjuszów — Polaków, ludzi o wielkich i wypróbowanych kwalifikacjach. Górowali przecież pensjami od 14.000 zł. rocznie do 96.000, a odznaczali się przytem arogancją i butą, wyrosłą na gruncie długiej bezkarności.

Potworne upały w Australji

LONDYN (PAT) — W Australji panują przeraźliwe upały, wskutek których lasy płoną na wielkiej przestrzeni. W okolicy Adelajdy ogień przerzucił się nawet na ogrody i sady owocowe. W lasach sosnowych płomienie wznoszą się na 150 stóp wysokości.

W południowo - wschodniej części Australji wskutek upału spalonych jest tysiące akrów trawy. Dzień wczorajszy był najgorętszym dniem marcowym w historji Australji. Temperatura przekroczyła w Adelajdzie 110 stopni Fahrenheita.

Wielka narada gospodarcza w Gdyni

GDYNIA (PAT) — Wczoraj pociągiem rannym przybyli do Gdyni przedstawiciele rządu oraz władz centralnych na konferencję, poświęconą zagadnieniom gospodarczym Gdyni: p. minister Przemysłu i Handlu dr. Ferdynand Zarzycki, p. minister Rolnictwa i Reform Rolnych Nakoniecznikow - Klukowski, p. minister Komunikacji Butkiewicz, wiceministrowie Lechnicki i Kozłowski, komisarz generalny R. P. w Gdańsku min. Papce, wicewojewoda pomorski Seidlitz, wicemarszałek Dębski i inni.

Sfery gospodarcze w Gdyni, wszystkie bez wyjątku, są reprezentowane na konferencji, w której bierze udział przeszło 200 osób.

O godz. 9-ej w gmachu państwowej szkoły morskiej w Gdyni została otwarta konferencja gospodarcza pod przewodnictwem p. ministra Przemysłu i Handlu dr. Zarzyckiego. Przy stole prezydjalnym zasiedli pp. ministrowie: Nakoniecznikow - Klukowski i Butkiewicz, wiceministrowie: Lechnicki i Kozłowski.

P. minister Zarzycki, zagajając konferencję, podziękował zebranym za przybycie i dobitnie podkreślił, że rozsiewane czasem pogłoski o zaniedbywaniu spraw gdyńskich przez władze centralne są pozbawione wszelkich podstaw. Następnie minister udzielił głosu prezesowi izby przemysłowo-handlowej Korzonowi, który naszkicował zagadnienia gospodarcze portu gdyńskiego.

Pierwszy z referentów przemawiał wicedyrektor izby przem. - handlowej p. Kawczyński, prezes miejscowego BBWR. Mówca w obszernym referacie wysunął szereg postulatów, których wykonanie przyczyniłoby się do dalszego rozwoju handlu i przemysłu w porcie. Mowca uważa za wskazane: 1) stworzenie funduszu do badań urządzeń w portach zagranicznych, 2) zmianę administracji portu, 3) stworzenia portu przemysłowego, 4) Poparcie nowych form handlu zamorskiego, 5) uruchomienia tanich kredytów dla handlu portowego, 6) baczne zwrócenie uwagi na interesy polskich armatorów i maklerów przy zawieraniu większych tranzakcyj zagranicznych, 7) zachowanie odpowiedniego poszanowania dla pracy [illegible] portowego.

Samolot niemiecki zabłądził do Polski

SOSNOWIEC (PAT) — Wczoraj na polach koło Pyzowic, pow. będzińskiego, wylądował niemiecki samolot, pilotowany przez lotnika Bioneta.

Według wyjaśnień lotnika, wystartował on z Gliwic, gdzie odbywały się ćwiczenia i zabłądziwszy, wylądował na terytorjum polskiem. Samolot znajduje się pod strażą na polach pyzowickich.

Z pod Lwowa do Warszawy na piechotę

Ze wsi Wierzblany (pow. Kamionka Strumiłowa), przybył do Warszawy na piechotę mieszkaniec tejże wsi, nazwiskiem Łoziński. W ciągu 13 dni przebył on przestrzeń kilkuset kilometrów, aby dyrekcji ubezpieczeń wzajemnych w Warszawie przedstawić swoje pretensje w sprawie wypłaty premji asekuracyjnej.

Zabudowania Łozińskiego, ubezpieczone na 1850 złotych, spaliły się jeszcze w 1931 roku. Po pożarze komisja szacunkowa obniżyła ubezpieczenie na 1500 złotych, motywując tę decyzję spadkiem wartości budynków. Tytułem premji asekuracyjnej wypłacono Łozińskiemu tylko 401 złotych, twierdząc, iż pozostałości z budynków po pożarze przedstawiają wartość reszty szacunku.

Łoziński dotychczas się nie odbudował, gdyż pozostałości nie nadają się do użycia na budulec i przez kilka lat dopominał się nadaremnie w okręgowym urzędzie ubezpieczeń wzajemnych o wypłatę reszty premji asekuracyjnej. Kiedy ostatecznie przekonał się, iż wszelkie jego zabiegi są bezskuteczne, wybrał się na piechotę do Warszawy, aby tu szukać sprawiedliwości. Losem i sprawą Łozińskiego zajął się jeden z posłów sejmowych.

22 sprawy w Senacie

Wczoraj po południu odbyło się plenarne posiedzenie Senatu na którem załatwiono szereg projektów rządowych ustaw ostatnio uchwalonych w Sejmie.

Bogaty porządek dzienny obejmował 22 punkty.

Wśród nich znajdował się projekt ustawy o filmach, o spółdzielniach, o ochronie przed pożarami, o prawie przemysłowem, o ochronie przyrody, o dożywotniem honorowem uposażeniu P. Prezydenta Rzplitej i kilka ratyfikacyj międzynarodowych.

Wszystkie ustawy zostały przyjęte.

Dziś zamieszczamy pierwszy odcinek rewelacyjnej powieści p. t.

„Piekielna moc"

Treść tej powieści, osnutej na tle prawdziwych, wstrząsających wydarzań, sprawia niezwykłe wrażenie dzięki jednemu z bohaterów, będącemu jakby wcieleniem przewrotnego zła, opętującego dusze czyste w sieci grzechu i hańby

Zazdrość, czy histerja

pchnęła ją do strasznej zbrodni mężobójstwa

Nad grobem ś. p. porucznika Stefana Polaczka unosi się nieod gadniona dotychczas tajemnica... Zginął z rąk własnej żony, 38-let niej Eudoksji Teodozji,, która za dała mu śmierć przez zaciśnięcie pętli sznura wokół szyji.

TAJEMNICA GROBU

Któż odgadnie dlaczego to zro biła? Ona twierdzi, że w szale zazdrości, a tymczasem liczni świadkowie, powołani ze strony prokuratora, utrzymują wręcz coś przeciwnego. Zabiła w ataku histerji! Żona - zbrodniarka dla swej obrony będzie się mijać z prawdą bo jej ofiara — mąż nie przemówi z za grobu, aby przedstawić tło dramatu, a zwłaszcza oświetlić należycie godziny, minuty, poprzedzające straszny mord.

Pozostają świadkowie i listy zmarłego do żony. Listy te stanowią dokument niewątpliwej wartości i są żywem słowem zmarłego, który skreśliwszy je, rzucił pewne światło na stosunek swój do żony, dając w ten sposób w ręce sądu obciążający materjał.

Jaki miało przebieg wspólne pożycie pp. Polaczków, zakończone w sposób tak dramatyczny — mówią o tem szczegóły, zebrane w toku przeprowadzonego dochodzenia.

W 1918 r. w Charkowie zawarli ślub. Do Polski przybyli w 1919 r., instalując się ostatnio w Krakowie, gdzie por. Polaczek miał przydział służbowy.

Pierwsze lata nie zaznaczyły się niczem szczególnem. W 1922 r. przychodzi na świat córeczka Helenka (liczy dziś lat 12), a w cztery lata później rodzi się syn Heniuś (liczy dziś lat 8).

Pierwsze chmury nadciągnęły, jak twierdzi Polaczkowa, w chwi li, gdy dowiedziała się, że mąż nawiązał bliższą znajomość z nie jaką Janiną Woronówną i w związku z tem zaniedbywał dom i rodzinę.

Czy istotnie to było przyczyną niesnasek — wykaże to niewątpliwie rozprawa sądowa. Z drugiej strony wiadomo, że były to podejrzenia o zdradę i stąd rozwijająca się obłędna histerja.

POTWÓR CZY HISTERYCZKA?

Polaczkowa jest z natury porywcza, nieustępliwa. W pożyciu małżeńskiem stawała się z dnia na dzień coraz bardziej nie znośną. Zdarzały się fakty, świadczące o pewnej nienormal ności albo złośliwości.

Pewnego razu, gdy ś. p. por. Polaczek leżał w szpitalu ciężko chory na tyfus — oskarżona w czasie rozmowy uderzyła go w twarz; przynosiła ze sobą rewol wer na postrach, paliła jego bie liznę, niszczyła mundur i t. p.

W czasie, gdy pełnił on służbę — wywoływała gorszące sceny, łżąc go i bijąc w obecności przełożonych, a częstokroć podwładnych. Bywały tak przykre sytuacje, że por. Polaczek, okaleczony przez żonę, w ciągu kilku dni nie mógł dźwignąć się z łóżka.

Doszło wreszcie do tego, iż władze przełożone zwróciły uwagę por. P., domagając się odeń uregulowania stosunków rodzinnych. Władze dały do zrozumienia, iż zachowanie się żony w miejscach publicznych — podkopuje powagę munduru oficerskiego.

Por. Polaczek usprawiedliwiał postępki swej małżonki daleko posuniętą histerją, lecz równocześnie złożył prośbę o przeniesienie do innego garnizonu.

Pod tym względem nie było trudności. W kwietniu ub. r. por. P. otrzymał przydział w Centrum Wyszkolenia Saperów w Modlinie; dokąd udał się niezwłocznie. Polaczkowa wraz z dziećmi pozostała w Krakowie.

CZUŁE LISTY

Znalazłszy się na miejscu nowego przydziału por. P. zabrał się ochotnie do pracy, prowadząc życie b. skromne.

Gdy nieco nerwy odpoczęły — zaczął poważnie myśleć o odbudowaniu życia rodzinnego. Pisze obszerne i jakże czułe listy do żony! Że miał szczere zamiary, dowodzi fakt wynajęcia przezeń większego mieszkania. Donosi żonie m. in. takie drobiazgi, jak np. ile będzie kosztować remont lokalu. Raz po raz powtarza się w listach: „Kochana Dosiu". Albo: „Kocham Cię tak, jak gdybym dopiero wczoraj został Twoim narzeczonym". Treść wszystkich listów przepojona jest wielką mi łością, przywiązaniem i dążeniem do rozpoczęcia nowego ży cia..

POLICZEK NA... POWITANIE.

Zanim jednak zdołała zrealizować swój projekt — w dniu 8 lipca ub. r. rankiem przybyła do Modlina oskarżona wraz z dziećmi. Pozostawiwszy je na korytarzu—weszła przez drzwi kuchenne. Por. Polaczek, znajdujacy sie w kuchni z ordynansem, Władysławem Hukiem, zwrócił sie do przybyłej: „Dzień dobry, żono!" W odpowiedzi na to Polaczkowa wymierzyła mu siarczysty policzek, wszczynajac, jak dawniej awanture. Znowu w ruch poszły naczynia kuchenne i inne przedmioty.

Napastowany oficer, chcac pozbyć sie jedynego świadka t. j. Wład. Huka, wysłał go po wódke. Tymczasem w mieszkania dochodziły na korytarz wyzwiska i odgłosy szamotania.

CZY ŻYJE Z INNĄ KOBIETĄ?

Jak Huk powrócił z porcją wódki — Polaczkowa wybiegła na korytarz, pytając sie służących sasiadów, czy mąż jej współżyje z jaką kobietą. Nie otrzymawszy konkretnej odpowiedzi — Polaczkowa wpadła z furją do mieszkania, gdzie tym razem uległ zniszczeniu mundur i bielizna. Tego rodzaju „kontredans" trwał przez kilka godzin, aż wreszcie, gdy roz bestwiona niewiasta zraniła w twarz męża — zaszła potrzeba sprowadzenia lekarza, który po nałożeniu opatrunku, nakazał choremu poleżeć w łóżku.

W tym czasie Polaczkowa wybiegła do ogródka, przecha dzając sie nerwowo.

Wkrótce potem por. Polaczek podniósł sie i chwiejnym krokiem usiłował przedostać sie przez okno do ogródka, żeby, wedle prawdopodobieństwa zaczerpnąć świeżego powietrza. Sił mu nie starczyło. Potknał się i upadł nawznak tuż pod samem oknem.

SZNUR NA SZYI MĘŻA

Teraz dopiero rozegrała się dramatyczna scena. Polaczkowa zbliżyła sie pośpiesznie do leżacego meża, rzuciła nań pled i poduszke, a nastepnie za rzuciła mu na plecy sznur, który kilka razy owineła wokół szyi, silnie zaciągneła petle i udusiła. Na ustach zmarłego pojawiła sie krew z piana.

Lekarze orzekli, że gdyby wpore dano pomoc — por. P. byłby uratowany.

O zabójstwie powiadomiona została żandarmerja ,która dokonała aresztowania zbrodniarki.

Gdy matka kroczyła do więzienia — dzieci, nie wiedząc, co sie stało, do czasu przybycia najbliższej rodziny, znajdowały sie u sasiadów zmarłego tragicznie ojca.

OSKARŻONA W TWORKACH

Do rozmyślnego uduszenia meża Polaczkowa nie przyzna ła się. Twierdzi ona mianowicie, iż zarzuciła wprawdzie sznur meżowi na plecy, ale za ciśnięcie go na szyi musiało na stąpić bezwiednie w czasie sza motania się.

Władze śledcze, majac pewne wątpliwości co do stanu poczytalności oskarżonej — odes łały ja na obserwacje do Two rek. Opinja lekarska wypadła korzystnie. Jest zdrowa, choć zdolności kierowania czynami w czasie inkryminowanym mia ła ograniczoną.

Smutna bohaterka tego dramatu przebywa obecnie w wię zieniu przy ul. Dzielnej, gdzie oczekuje na rozprawę, zapowia dającą się niezwykle ciekawie.

Urząd prokuratorski przygotował w tej sprawie obszerny akt oskarżenia.

Ostatnia przysługa

(S. F.) Działanie wódki bywa różne. W niektórych wódka wywołuje radosny nastrój i poczucie szczęścia. Całują z radości wszystkich i wszystko co napotkają na drodze. Nawet drzwi. Tańczą rumbę na stole, tłuką lustra jednem słowem — szaleją z radości.

Na innych wódka działa wprost przeciwnie. Odbiera im chęć do życia.

Do tych ostatnich należy p. Wiktor Ziołek, który po pierwszej butelce zaczyna gorzko płakać, a po drugiej poważnie myśli o samobójstwie.

Takie właśnie myśli ogarnęły p. Wiktora, gdy pewnej nocy, po większem pijaństwie wracał w to warzystwie kolegi p. Pawła Szczygielskiego do domu.

— Dziś muszę skończyć z tem marnem życiem! — łkał p. Ziołek — Pawełek! Jednego mam tylko ciebie, przyjaciela. Pocieszysz żonę, także samo pogrzebem się zajmiesz, bo kobieta sama nie da sobie rady...

— Owszem — westchnął p. Paweł. — Żebym był wolniejszy, tobym się zajął. Zawsze co przy jaciel, to przyjaciel. Ale jutro mam roboty kupę i nie będę miał czasu... Koło pogrzebu latania jest dużo i najmniej dwa dni trza zmarnować.

— To odłożysz robotę, i się zajmiesz. Dla mnie to zrobisz.

— Nie mogę, Wicuś. Robota pilna.

— W takiem razie, dopiero we wtorek w łeb sobie strzelę — we stchnął p. Ziołek. — Poczekam aż się zwolnisz.

— We wtorek?... Też nie da rady... I wogóle w tem tygodniu nie mam czasu... Poczekaj do ma ja, jak się u mnie sezon skończy, to wtedy ci taki pogrzeb wyszykuję, jak nikt. W maju jestem wolniejszy i ze spokojną głową będę sobie mógł polatać, wszyst ko regularnie załatwić, trumnę odpowiednią wybrać...

P. Ziołek zatrzymał się, oparł się o latarnię i z wyrzutem spoj rzał na p. Pawła.

— Przyjaciel się morduje — sapnął — a ty mu do maja każesz czekać? Ostatniej posługi odmawiasz? Świnia jesteś nie ko lega!

— Że tobie, łachu, chce się w trumnie do góry brzuchem wyle giwać, to ja mam roboto rzucić? — oburzył się p. Paweł.

— Drań jesteś!

— Sam bydle!

Od słowa do słowa wynikła awantura zakończona protokołem o zakłócenie spokoju publicznego. Obydwaj panowie zapłacą po 20 zł. grzywny.

Zwróć uwagę!

Bohaterstwo dla sprawy pokoju

(w.) Lot eskadry włoskich hydroplanów pod dowództwem gen. Balbo, dzisiejszego marszałka, z Rzymu do Chicago był wydarzeniem, którem się interesował cały świat. Wszyst kie państwa miały zwrócone oczy na powietrzną fortecę Italji, która buńczucznie głosiła światu, że na przeszkodzie skrzydłom włoskim nie stoją ani lądy, ani oceany. Mussolini zaprezentował swą siłę bojową w nie ogarnionych przestworzach po wietrza.

Gest zbrojnej ręki kosztował drogo. Teraz dopiero wyszło na jaw, że wyprawa gen. Balbo kosztowała skarb państwa 7.442.000 lir., a więc blisko 3 miljony złotych! Tyle pieniędzy zużyto na propagandę wolny, boć inny cel użyteczny eskadrze włoskiej nie przyświecał!

O włoskich hydroplanach na szlaku Europa — Ameryka — Europa było głośno. Zwyciezcom po powrocie stawiano bramy triumfalne! Lot był wspaniały, ale ileż to lotów również wspaniałych dokonywuje się niemal codziennie i o nich głucho! Cicho, bo służą sprawie pokoju.

Weźmy dla przykładu taki holenderski samolot pocztowy „De Pelikaan". Przestrzeń między Amsterdamem i Batawją, wynoszaca 14.000 klm., przebył w 4 doby, 4 godziny i 40 mi nut z ładunkiem 80.000 listów na pokładzie. Dzienny przelot wynosił od 3.000 do 4.000 klm.! Drogę powrotna odbył w tym samym czasie. Czy to nie imponujacy wyczyn człowieka skrzydlatego? A dlaczego nie czekały na bohatera bramy triumfalne? Bo zamiast bomb na pokładzie miał poczte!

Dr. Stefanowski skazany na 3 lata

Wczoraj ogłoszony został wyrok sądu w sprawie lekarza Kasy Chorych, dr. Tadeusza Stefanowskiego, oskarżonego o fałszowanie na szeroką skalę weksli i oszukańcze nabywanie wartościowych przedmiotów zbytku.

Sąd skazał dr. Stefanowskiego na 3 lata więzienia.

Wesoły Kącik

WARTOŚĆ CZŁOWIEKA



W rozmowach o znajomych często używa się słowa „wart". Mówi się: „Ten człowiek jest du żo wart", albo „Ta Jadźka to mało warta".

Z powiedzeń tych wynika, że nietylko krowa, swinia lub pies mają swoją wartość, ale człowiek też.

W dawnych czasach, kiedy ist niało niewolnictwo i kwitnął han del niewolnikami, człowiek miał swoją ściśle określoną wartość i cenę. Za dobrego humorystę naprzykład płacono 100 sestercjów, za tancerkę — 120. Zdolnego medyka można było dostać za 150, a zwykły śmiertelnik bez specjalnych kwalifikacji kosztował od 30 do 50.

Obecnie, gdy handel niewolnikami został zakazany, człowiek nie ma już swojej stałej ceny i trudno określić jego wartość.

Istnieje coprawda handel nielegalny. Nie chodzi tu o tak zwane „sprzedajne kobiety". Biedne te istoty właściwie wcale się nie sprzedają. Za niewielką opłatą „wypożyczają się" jedynie na godziny.

Ukryta sprzedaż istnieje przedewszystkiem w tranzakcjach matrymonjalnych. W ogłoszeniach matrymonjalnych czytamy często: „Ożenię się z panną, która da mi na założenie interesu 10 tysięcy", albo „Szukam dla swej córki męża. Posag 20 tysięcy."

Posag w tym wypadku, to nic innego tylko cena kupna. Jak wi dzimy ceny są znacznie wyższe niż w okresie niewolnictwa. Nie znaczy to bynajmniej, że wartość człowieka od tego czasu wzrosła. Wart jest człowiek to samo, co dawniej. Może nawet mniej. Ale cena znacznie się podniosła, ponieważ handel jest nielegalny.

Tak samo, jak w Ameryce, kiedy podczas prohibicji wódka podrożała wielokrotnie.

I dlatego za młodzieńca, który jest wart 10 do 15 złotych muszą spragnieni zięcia teściowie płacić dziesiątki tysięcy.

Widzimy więc, że w dzisiejszych czasach trudno jest ustalić prawdziwą wartość człowieka. Kiedy wzięła mnie ciekawość ile ja sam jestem wart, znalazłem się w kropce, do kogo się tu zwrócić, żeby mnie otaksował.

— Najlepiej do handlarza sta rzyzną — poradził mi doświadczony kolega. Taki ma oko. Spoj rzy i odrazu wie, ile warte.

Wezwałem do siebie handlarza. Obejrzał mnie dokładnie, zaj rzał do kieszeni i oświadczył:

— Pan więcej jak 23 złote nie jest wart. Ubranie liczę 15, a pantofle, bieliznę i resztę — 8.

— A moje złote serce?

— Złote serce? — uśmiechnął się pogardliwie. — Żeby pan miał cielęce, albo wołowe, toby rzeźnik parę groszy dał. Ale komu potrzebne złote serce? Czem człowiek jest większy drań, tem mu na świecie lepiej.

Napoleon Sądek.

PIEKIELNA MOC

Prawdziwe dzieje osób, uwikłanych w sieć szatańskich pokus i zasadzek

1. WCIELONY DJABEŁ

Na południu dawnego zaboru rosyjskiego, na jakiś czas przed wybuchem wojny, która obaliła słupy graniczne, dzielące ziemię polską, wpobliżu granicy austrjackiej, była wioska Rybanów. Ludność jej pędziła żywot cichy, spokojny i niktby o niej nie wiedział na szerokim świecie, gdyby nie Jur Olas.

Jur Olas był wcieleniem samego djabła! Dorodny, kruczowłosy, śniadolicy, ognistooki, miał spojrzenie, przenikające aż do głębi, budzące dreszcz trwogi. Kiedy wpatrzył się swemi świdrującemi, czarnemi ślepiami, każdy odwracał głowę. Okoliczni włościanie unikali stykania się z nim, a usuwając mu się z drogi przy spotkaniach, mruczeli pod nosem:

— Czarci pomiot!...

Czarci, jak czarci, ale zato z pewnością — cygański... — gadali ludzie i to wszyscy, że Olasowa miała chłopaka z cyganem... Rzeczywiście, w swoim czasie obozowali tu wpobliżu cyganie, myszkowali po lesie... Podobno jeden z nich tak urzekł Olasową, że nie zdołała oprzeć się jego czarnym oczom i chodziła z nim w leśny gąszcz... Niby nic dziwnego: mąż był dużo starszy od niej i chorowity, a cygan, jak objął muskularnem ramieniem, to aż krew w żyłach kipiała... Czyniła to jakoś tak zręcznie, że mało kto o tem wiedział... Ten i ów, coprawda, przebąkiwał, ale nikt nie przyłapał...

Ale cyganie, jak wiadomo: dziś tu, jutro tam. Powędrowali dalej i byłoby wszystko poszło w zapomnienie, gdyby Olasowej nie urodził się chłopaczek, niby murzyniątko... A przecież Olasowie oboje mieli jasne włosy!...

Wtedy już poszły po wsiach okolicznych „śmichy-chichy", że aż przykro było. Olasowa bała się chłopaka nieść do chrztu, bo księdzu proboszczowi o cygańskich amorach na spowiedzi przemilczała. A co będzie, jeżeli ksiądz nagle zapyta, co to się za czarnulek narodził?...

Stary Olas zmarkotniał i tak się tem truł, aż zmarło się biedakowi ze zgryzoty. Bez ojcowskiej ręki Jur wyrósł na łobuza i zawadjakę, jakich mało. Przystawał do kłusowników, koniokradów, przemytników i zwykłych bandytów, a zawsze tak sprytnie, że go na niczem nie można było przyłapać.

Potem wraz z matką zaczęli robić jakieś ciemne interesy. Wyzbywali się ojcowizny, szmat za szmatem, a zyskiwane pieniądze pożyczali na procent. Kto zaś zaplątał się w ich pajęcze sieci, ten rzadko już z nich mógł się wydobyć.

Ludzie dziwowali się, że dwudziestoletni smarkacz już jest takim wytrawnym lichwiarzem. Cygańska krew!...

Tylko spojrzeć na niego, a już strach brał. Groźne błyski miotały wciąż jego czarne źrenice, nozdrza drgały, jak chrapy u spienionego rumaka, a w całej postaci było coś niesamowitego. Schodzili mu z drogi najtężsi parobcy, a dziewczęta uciekały, jak przed djabłem...

Tylko, że niezawsze było łatwo... Gdy w niedzielę skrzypki grały w karczmie, a młódź wiejska pląsała ochoczo, dziewczęta wolałyby nie wiem co, niż tańczyć z Jurem. Ale też żadna nie śmiała mu odmówić, choć drżała w jego objęciach.

Nareszcie przyszedł czas na wojsko. Ludzie myśleli, że nareszcie odetchną choćby na jakiś czas. Ale Jur i tu urządził się z cygańskim sprytem. Zanim go powołano, podał się na ochotnika. Dzięki temu miał wybór przydziału. Postarał się dostać do pułku dragonów, stacjonujących niedaleko w miasteczku.

W wojsku szybko awansował. Znał się na koniach, jak... cygan. Ujeżdżał nawet najdziksze, we wszystkich ćwiczeniach celował dzięki swej ogromnej sile i kociej zręczności. Nic dziwnego, że został nawet wachmistrzem.

Zachłanność na pieniądze znalazła u Olasa i tu pole do działania. Wciągał kolegów do gier karcianych. Pewnego dnia podoficer rachunkowy strzelił sobie w łeb, bo przegrał pieniądze pułkowe. Mówiono o tem głośno, ale cóż kiedy nikt tej gry nie widział... Dochodzenie nie dało wyniku...

Tyle tylko, że przeniesiono go do oddziału granicznego, stacjonowanego opodal.

Olas był poza innemi obowiązkami służbowemi łącznikowym między szefem szwadronu, a dowódcą odcinka straży granicznej, którym był tu Polak — kapitan Kastalski, zamieszkały wpobliżu w ładnym domku, otoczonym ogrodem.

Jur przywoził do Kastalskiego raporty, które ten przeglądał i odsyłał zpowrotem, zaopatrzone uwagami i wskazówkami. Przez ten czas Olas zazwyczaj czekał w jadalnym pokoju.

Pewnego dnia przyjechał z bardzo pilną depeszą, ale Kastalskiego nie zastał. Oznajmiła mu o tem stara Maciejowa, służąca u kapitana.

— Tam u djabła! — zaklął Jur na tę wiadomość.

Staruszka spojrzała na niego nieufnie. Pomyślała sobie:

— Sam z piekła rodem, to wciąż ma djabła na ustach!...

Rzekła zaś głośno:

— Ino tu proszę nie kląć, panie sołdat, bo tu dom katolicki. Pan kapitan wyszedł i pewno niedługo wróci. Może zaraz, a może za godzinkę, albo i za dwie...

— A właśnie!... Tymczasem ja mam piorunem przywieźć odpowiedź. I co teraz będzie?

Na to już Maciejowa rady nie widziała.

Pokiwała głową zafrasowana i rzekła:

— Chyba pójdę poprosić panienkę...

— Dobrze zrobicie, Maciejowo. A zapytajcie odrazu panienkę, kiedy pan kapitan wróci.

Wiedząc, że wnet znajdzie się przed obliczem młodej panny, Jur obciągnął mundur, przygładził rozwichrzoną czupryne i starał się nabrać miłego wyrazu twarzy. **Czekał przed gankiem, bo Maciejowa nie zaprosiła go do domku.**

Teraz dopiero zjawiła się, mówiąc niechętnie:

— Panienka prosi... Może pan wejść.

Jur strzepnął kurz z butów, zdjął czapkę, otarł pot z czoła i wszedł służbiście, stając na baczność i kłaniając się rycersko.

W tej samej chwili wszakże... osłupiał!...

Stało się to na widok córki kapitana, złotowłosej Danusi...

Był jej pięknością olśniony, wręcz... oślepiony, jak nagle wykwitającym z za chmur jasnym promieniem słońca...

Ale bo też trudno byłoby o piękniejsze uosobienie wiośnianej słoneczności, niż Danusia Kastalska! Smukła, strzelista, wiotka, czarowała brzoskwiniowemi policzkami, tak dobrze dającemi się określić znanem porównaniem: „krew z mlekiem". Wychowana w upojnym aromacie pól i lasów, wdychając od urodzenia odżywczy wiew polskiej wsi, wyrosła na hoże dziewczę, zgrabne, jak sarenka, a ktoby chciał wyrzeźbić boginkę, nie znalazłby lepszego modelu...

W obramowaniu naturalnie wijących się loków, o złocistym połysku dojrzewających kłosów, tem piękniejsze wydawały się jej duże oczy o błękicie polskiego nieba. Ach, jakie to były oczy!... Nie takie, jakie widujemy u dziewcząt wielkomiejskich. Takie oczy widuje się jeszcze tylko u panien, chowanych po białych dworkach, oczy o przeczystym blasku, oczy jakby spłoszonej łani, spoglądającej z trwożnem zaciekawieniem... Pięknem uzupełnieniem tej cudnej twarzyczki dziewczęcej były koralowe usteczka, niby majowy pąk róży, ukazujące dwa rzędy ząbków-perełek...

Tuż obok stanęła siostra cioteczna Danusi — Basia, bawiąca tu na wakacjach krakowianka. Stanowiła zupełne przeciwieństwo Danusi. Była ciemną szatynką, o rok młodszą (skończyła zaledwie szesnaście lat), niższą, lecz nieco krąglejszą, o wyraźniej zarysowanych biodrach i prężących się już piersiach. W czarnych oczach płonęły tajemne ogniki. Rysy były bardziej wyraziste, lecz szlachetne i piękne.

A jednak Jur przy Danusi — nawet nie dostrzegał Basi. Owiana aureolą niewinności Danusia przyćmiła w jego oczach bardziej wyzywającą urodę Basi.

Danusia poprosiła wachmistrza, żeby chwilę poczekał, bo ojciec zapowiedział, iż niedługo wróci. Przyrzekła, że dotrzyma mu towarzystwa do powrotu ojca. Olas wybełkotał parę słów, że chętnie poczeka i... nie mógł więcej rzec ani słowa... Tak go „wzięło"...

Pierwszy raz zdarzyło mu się coś podobnego! On, co zawsze traktował wszystkie dziewczęta, jak lietkępentelkę, zrywając, jakby od niechcenia ten czy ów kwiatek, który mu wpadł w oko, lekceważąc je i nie przywiązując wagi do żadnej — teraz poczuł się nagle straszliwie onieśmielony... Zawsze był taki odważny, bo wiedział, że żadna nie ośmieli mu się oprzeć; zaczepiał każdą bez wahania, a teraz plątał mu się język i nawet nie umiał odpowiedzieć na grzeczne zapytania Danusi...

Rozmowa się nie kleiła. Czy to dlatego, że Jur wogóle nie był przyzwyczajony do rozmowy z inteligentnemi pannami, czy ta cała atmosfera cnotliwej i niewinnej dziewczęcości była mu obca, dość, że mruczał tylko coś pod nosem. Był jakby odurzony...

Wtem wszedł kapitan. Szybko załatwił sprawę i odesłał Jura zpowrotem. Jurowi nie udało się nawet pożegnać z Danusią, co jeszcze bardziej omroczyło jego humor...

Od owego dnia był zły i ponury. Boczył się na wszystkich bez powodu i przestał nawet zaczepiać spotykane na ulicach kobiety...

Dniami i nocami myślał teraz **wciąż tylko o Danusi.** Widział stale przed oczyma wyobraźni jej złotowłosą główkę i jasne spojrzenie gołębicy. Stopniowo jego ciche uwielbienie przekształcało się wszakże we właściwy mu żar, stając się szaleńczą żądzą...

Błąkał się po nocach wpobliżu jej domku, w ciągu dnia starał się zawsze znaleźć wolną chwilkę, aby myszkować dookoła, pragnąc choćby tylko ujrzeć jej olśniewającą postać. A tu jakby na złość nie udawało mu się.

Ilekroć przyjeżdżał z raportem, zawsze zastawał kapitana... Pech!...

Aż tu wreszcie..

Dano mu do ujeżdżenia bardzo narowistego konia. Chodziło nietylko o maneż, lecz również o pola i lasy. Dało to Jurowi możność harcowania po okolicy. Oczywiście, czynił to wpobliżu domku Kastalskiego.

Kastalski był właśnie na spacerze z córką i siostrzenicą. Widział harce Jura i jako znawca nagrodził go oklaskiem. Jur promieniał, że mógł się czemś przynajmniej popisać przed Danusią.

Natomiast Basia rzekła:

— Ale ten oficer, pamiętasz, wuju? No ten, którego wczoraj widzieliśmy, jest bodaj jeszcze lepszym jeźdźcem, prawda?

— Masz na myśli naszego rodaka, rotmistrza Poraj - Hebdyńskiego?

— Zdaje się, że tak się nazywa — szepnęła Basia, piekąc raczka.

— To też świetny jeździec, prawda, wachmistrzu?

— Tak jest, panie kapitanie — potwierdził służbiście Jur, ale oczy ciskały błyskawice wściekłości.

W końcu rozmowy kapitan pozwolił mu od czasu do czasu bywać w domu, z czego Jur skwapliwie korzystał.

Częste odwiedziny jeszcze bardziej podsycały płomień namiętności miłosnej, burzący krew Jura. Budziły w nim nieznane dotychczas dreszcze. Spalał się w rozszalałej i niezaspokojonej żądzy.

Wtem nastąpiło coś, co przyśpieszyło bieg wypadków. Matka Jura postanowiła za zarobione lichwą pieniądze kupić las na wyrąb. Wydała na to wszystko, co miała, jeszcze się zapożyczyła. Parę dni później — las spłonął... Na pogorzelisku znaleziono zwęglone zwłoki Olasowej..

Jur stał się nędzarzem... Powiedział więc sobie:

— Tem bardziej muszę mieć Dankę!...

Dalszy ciąg nastąpi.

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ

SPOWIEDŹ PIĘKNEJ DZIEWCZYNY RZUCONEJ POMIĘDZY BESTJE LUDZKIE

Hrabia Jabłowski klęczał tyłem do drzwi swej sypialni i nie widział, że Józio stanął na progu. Stał i groził mi pięścią!...

Zadrżałam. Dobrze wiedziałam, czem pachnie taka groźba jego wielkiej łapy. Skinęłam głową.

Jeszcze raz potrząsnął pięścią w powietrzu i ukrył się za drzwiami.

— No, dobrze — szepnęłam nieswoim głosem. — Niech pan hrabia przyniesie te pieniądze.

Zerwał się z klęczek, jak odmłodzony.

— I będziesz moją, będziesz?... Na pewno? Nie zwodzisz mnie?.. Moją?... Zaraz będziesz miała te pieniądze!... Ale zostaniesz moją nietylko dziś, prawda? Pozwolisz się częściej widywać?... Nie będę ci żałował niczego!... Już idę!... Dam ci potem jeszcze więcej pieniędzy!...

Zostałam sama w pokoju. Siedziałam bez ruchu, jak skamieniała.

— Ot, na co zeszłam — rozmyślałam, — na co zeszłam!... Teraz każe mi w ten sposób okradać mężczyzn, potem wypędzi mnie na ulicę!...

Czułam przytem jakiś dziwny, niezrozumiały niepokój.

— Co się tam dzieje, że on tak długo nie wraca?— zadałam sobie pytanie.

Nagle na progu zjawił się Józio. Kiwnął na mnie głową.

Zerwałam się przerażona.

— Co się stało? — szepnęłam.

— Co się miało stać? Chodź, pomożesz mi! Ani się nie spodziewałem, że tyle wpadnie nam w graby!... Chodź prędzej!...

Drżąc na całem ciele, poszłam za Józiem.

Przeszliśmy sypialnię i znaleźliśmy się w gabinecie.

Na środku pokoju, związany sznurami, leżał jakiś poruszający się tłomok.

— Związałem go trochę, żeby się nie rzucał — objaśnił mnie Józio. — Nie mogłem, psiakrew, znaleźć, gdzie trzyma forsę i pewniebym nie znalazł, gdyby mi sam nie pomógł, obiecując ci dać sto tysięcy... Ale fajny gość! Sto tysięcy kobiecie daje za amory!... Cholera!... Aż mnie zaćmiło!... To ty jesteś warta!... Poszedłem za nim i kiedy otwierał skrytkę, owinąłem mu łeb jakąś kapą, sznurki przy firankach i portjerach się znalazły i teraz leży nieboraczek, jak cielątko... No, szkoda gadania. Ładuj forsę, gdzie możesz i ile możesz!...

Zbliżyłam się do skrytki.

Był to dość głęboki otwór, wydrążony w ścianie, podzielony na przegródki. W niektórych widniały szufladeczki.

— Trzeba będzie zrewidować i te szufladki!... Stań-no narazie przy drzwiach sypialni — rozkazał mi Józio, bo może jaki sługus będzie nadchodził! Dasz mi znać, a ja go już załatwię!...

Odchodziłam już, kiedy złapał mnie za rękę.

— Tylko, Tola! Pamiętaj!.. Ja tam Kubełkowi powiedziałem, że jeśli się dowie, że wsypa, twój bachor kaput!...

Byłabym z przyjemnością zamordowała go za to przypomnienie.

Rzuciłam okiem na podrygujący tłomok na ziemi, w którym kręcił się hrabia, napróżno usiłując się uwolnić z więzów i poszłam do sypialni.

Minuty, które tam spędziłam na straży, pilnując tego złodzieja, wydawały mi się wiekiem. Każdy szmer — a już chciałam uciekać. Nie, nie jestem stworzona na złodziejkę!...

— Tola! — usłyszałam wołanie Józia.

Poszłam.

— No, wszystko oporządzone! — wyjaśnił mi. — Jest trochę kamyków, jakieś szpargały, ale to do niczego i jeszcze trochę forsy!... Jeszcze jak żyję, nie miałem takiej fajnej roboty!... Wpakuj-no do swojej torebki trochę tych papierków!... Cholera, nawet złote ruble jeszcze ma!... Czekaj, to ja już je schowam!

Ładował kieszenie, jak mógł, w spodniach, w marynarce, w kamizelce. Pchał w te kieszenie i pchał, jakby miał specjalnie przyszyte workі, a nie kieszenie.

Wygarnął wszystko ze skrytki, pogrzebał w niej, czy czasem jeszcze co nie zostało, poprawił kołnierzyk i spojrzał na związanego hrabiego.

— No, a teraz co z tym bubkiem zrobić?...

— Uciekajmy już! — szepnęłam.

Słabo mi się robiło od tego wszystkiego. Obawa, że lada chwila ktoś ze służby może wejść do pokoju i zastać nas na kradzieży, odbierała mi siły, więcej nawet — poprostu przytomność!...

— Uciekajmy już, prędzej! — błagałam Józia, ciągnąc go za rękaw.

— Czego się płaczesz, do wszystkich djabłów! — mruknął na mnie. — Przecież nie zostawimy tego bubka, bo da znać policji i nie zdążymy czmychnąć, jak nas przyskrzynią i zapakują do mamra!... Chyba najlepiej będzie załatwić go na mokro!... Nie lubię mokrej roboty, ale niema innego wyjścia...

— Co ty chcesz z nim zrobić? — zapytałam, nie wierząc własnym uszom.

Miałabym być świadkiem i uczestniczką morderstwa?

Ścierpłam cała, czułam, jak mi się włosy dębem podnoszą na głowie.

— Co ty chcesz z nim zrobić? — powtórzyłam zdławionym głosem, z trudem wydobywając z gardła wyrazy.

Józio spojrzał na mnie.

— Nie twój interes!... Idź naprzód, ja zaraz przyjdę za tobą. Poczekaj na mnie w sypialni!.. No, jazda!

Nagle siły we mnie wstąpiły. Doskoczyłam do Józia:

— Nie pozwolę ci go zamordować — powtórzyłam z uporem.

Hrabia widocznie słyszał naszą rozmowę. Owiązany w kapę jakąś i sznury od portjer rzucał się na wszystkie strony. Z pod kapy słychać było jakieś jęki i rzężenie. Słyszał, co mu grozi, chciał się biedak ratować.

Uwiesiłam się ramienia Józia.

— Uciekajmy! — mówiłam. — Zostaw go!... Zostaw!

Pchnął mnie, aż się zatoczyłam.

— Czego tu będziesz skamlała? Milcz!... Wolisz iść do mamra i swego bachora stracić? Co?... Ja tam do mamra nie mam iść ochoty! Siedziałem już i wiem, czem to pachnie. Mówię ci po dobremu: zjeżdżaj do sypialni i tam na mnie poczekaj! Zaraz zwiejem!...

Nie dałam za wygraną!

Uczepiłam się znów Józia, choć mnie odpychał.

— Czego się czepiasz?! — mruczał coraz bardziej zły. — Bo tobie tu gardło poderżnę, żebyś się raz uspokoiła.

— Poderżnij!! — wołałam jak nieprzytomna.

— Milcz! — Zacisnął mi swoją wielką łapę na ustach.

Sięgnął ręką gdzieś ztyłu za siebie i wyciągnął nóż.

Dalszy ciąg nastąpi.

IKS.

W cztery oczy

Intymne rozmowy z Czytelnikami

P. Elfrydę H.

prosimy o podanie adresu. Mo że co poradzimy.

P. D. K. z Włochów.

Skoro Pani zna imię i nazwisko, ulicę i numer domu, to mniejsza o numer mieszkania. Proszę napisać list do Mieteczka i bezpośrednio prosić go o znak życia. To będzie mu z pewnością milsze, a więc i skuteczniejsze.

P. Hanka z Polnej

poważnie się zagalopowała, pisząc:

„Drogi Redaktorze, wiem, że jesteś bardzo słodki i kochany". Skąd ta pewność, Haneczko, dziecinko? Znamy się przecież tylko z... czytania. Ileż to razy już pozory myliły! Piszę zaś to wszystko dlatego, żeby odrazu stwierdzić, że Hanuśka jest entuzjastką. To nawet bardzo miłe, bardzo młode, odurzające, ale życiowo błędne i nawet niebezpieczne. I z tego punktu widzenia będę już rozpatrywał — trudno! — dalsze pisanie Haneczki. Jest zaś takie:

„Jestem ładna i miła, jeżeli wierzyć znajomym, mam żywy temperament... i kochanego chłopczyka. Poznałam go na wieczorku. Jest podpor. - pilotem. Ma bardzo ładne czarne włosy, takież oczy, budowę Herkulesa i takie „coś" w sobie, co pociąga... Nic więc dziwnego, że zakochałam się... Na wieczorku tańczył przeważnie zemną, a podczas jednego tanga powiedział, że chciałby tak tańczyć ze mną przez całe życie (bardzo ładnie powiedział. Ja też tak zawsze mówię. Iks.).

Więc ja się pytam: „Panie poruczniku, a czy tak zawsze to sa mo tango, które obecnie tańczymy?". Roześmiał się i powiedział: „Wszystko jedno, mogą być walce, fokstroty, cobądź, byle z panią". (Brawo, Panie poruczniku! Widzę, że Pan umie bujać nietylko w obłokach, ale i na sali balowej! Iks).

Na pożegnanie powiedział mi, że jestem „bardzo kochane bobo". Umówił się ze mną na randkę. Rozmawialiśmy przeważnie na tematy ogólne, mówił mi o konstrukcji samolotów, życiu lotników i t. d. (Hanusieńko, mała uwaga: to nie są tematy „ogólne". Przeciwnie: bardzo specjalne. Iks).

Redaktorze, ja go tak bardzo kocham, ale on o tem nie wie (a jabym się założył, że wie... ho, ho, i jeszcze jak! Niech mi Pani wierzy, Haniutko, lotnicy to tacy cwaniacy, jakich mało. Iks). A ja bym tak chciała, żeby wiedział! Czy można mu o tem powiedzieć? Ale jak on na to zareaguje? Może będzie się śmiał z mojego uczucia?

Och, jakie to jest straszne, Redaktorze, być w takiej rozterce duchowej! Zdaje mi się, że on teżby chciał mi coś powiedzieć, ale może się żenuje (o święta naiwności Hanuśkowa!. Kto to kiedy widział „żenującego się" lotnika? A jakby zobaczył, toby go odrazu oddał do muzeum osobliwości. Iks). Jestem szczera i otwarta, powiedziałabym mu wszystko, co czuję. Waham się jednak w obawie, żeby to nie pogorszyło sytuacji. Może powie, że jestem bez humoru, że nie mam ambicji, bo pierwsza wyznaję mu miłość. To jakoś nie wypada, prawda, Redaktorze? Poradź mi, złociutki, co zrobić: czy można mu powiedzieć, że go kocham i w jaki sposób?"

Stanowczo powiedzieć należy, a w jaki sposób — najbardziej szczery i otwarty. Wszelkie wątpliwości i wahania są spowodowane jedynie całkowicie błędnem pojmowaniem przez Hanusię naj prostszych pojęć. Nie wypada? To starodawny przeżytek, kiedy pannę skazywano na czekanie, aż ktoś raczy jej się oświadczyć (uprzednio, zasięgnąwszy dokładnych informacyj, czy ma dobrze nabitą kabzę). Teraz i tak jesteśmy wszyscy goli, posagu i tak się nie dostaje, a znam mnóstwo wypadków, że mąż, który stracił pracę, jest na utrzymaniu żony, która przy swej posadzie zo stała. Czasy się zmieniły i teraz kobiety mają prawo same wybierać, kto im do gustu przypada.

A może mi Hanusieńka wytłumaczy, dlaczego to wyznanie miłości ma być dowodem braku honoru czy ambicji? Bo ja, biedactwo, głowię się i głowię, a ani rusz nic wymyślić nie mogę. Honor — to przedewszystkiem: otwartość i szczerość, śmiałe i odważne przyznawanie się do swych poglądów, myśli i uczuć. Więc właśnie objawem honoru może być wyznanie miłości.

A ambicja? To dążenie do zwyciężania, do przodowania, do osiągania swych celów życiowych. Jeżeli się Hanuśce lotnik podoba, to jej ambicją powinno być zdobycie go. A droga do zwycięstwa zawsze prowadzi przez atak. Lotnik, jako wojskowy, to zrozumie. Zresztą, sam przecież już na balu loty (czy — zaloty, właściwie) wywiadowcze przeprowadzał, badał teren, usiłował po zyskać przez budzenie zainteresowania swem zamiłowaniem...

Aby wreszcie wybawić Panią ostatecznie z kłopotu, postąpię z Panią, jak jaskółka z pisklęciem, któremu daje do dziobka już prze żuty pokarm. A więc powiedzieć lotnikowi jedno tylko krótkie zdanie: „Ach, jakże chciałabym być żoną lotnika!" Jeżeli to nie poskutkuje, natychmiast wręczę Redaktorowi Naczelnemu moją dymisję. Dowiódłbym tem bowiem, że jako doradca jestem do luftu („Luft" — po niemiecku „powietrze" — to, oczywiście, aluzja do ...lotnictwa).

P. Stefie M.

Sama Pani sobie winna, Panno Stefciu. Bardzo źle Pani sobie swego Karola wychowała. Jakiem prawem Panią zmuszał do trzyletniego przesiadywania wieczorami w domu i zaledwie „doglądania", czy Pani jest, a sam chadzał Bóg wie, gdzie? Lepiej później, niż wcale położyć temu kres. Doradzam Pani strajk. Nie siedzieć w domu i już. Albo niech Pani jego też dogląda, co on tam robi ze swoją „sublokatorką".

Gdyby Pani odrazu ostro się do niego wzięła i nie dała panować nad sobą, z pewnością już dziśby „dostał takiej manji, że chciał tylko od Stefanji" (tako rzecze Boy). A tak mu się „sublokatorki" zachciewa. Jeszcze czego? Boi się sam spać? To niech sublokatora sobie weźmie.

Czuję, Panno Stefciu, że jeżeli się energicznie razem do Karolka weźmiemy, to wprowadzi się Pani zpowrotem do serca Karolowego tak skutecznie, że wypełni Pani cały lokal sercowy i już mu tam żadne „sublokatorki" się nie zmieszczą.

Po wyroku śmierci
Ostatnie chwile skazańców

XIV.

CHCIAŁ ŻEGNAĆ SŁONKO

„... A zbójców było dwunastu. Brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa..." Któż tych słów nie zna z Mickiewiczowskiego „Powrotu taty"?! Zna je dorosły, umie je napamięć każde polskie dziecko! Nam cisną się one pod pióro, gdy mamy pisać o Kazimierzu Szpiegu, który zginął na szubienicy w więzieniu świętokrzyskiem.

I on miał chwile wzruszenia, ta kiego przedziwnego, sprzecznego z naturą. „Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało..." — spowiada się bohater Mickiewiczowskiej ballady. Szpiega, tego zatwardziałego zbója, wzruszyło... słonko! „A jak się stało, opowiem".

Kazimierz Szpieg przez długi czas grasował w Kieleckiem, trudniąc się rozbojem. Jakaś bestja siedziała w nim, bo mordował z nieludzkiem okrucieństwem. Długo hulał bezkarnie, pławiąc się we krwi niewinnych. Wreszcie został pojmany i stawiony przed Sąd Okręgowy w Kielcach.

Z cynizmem wyrafinowanego zbrodniarza przyznał się do rozbojów.

— Mordował — bo tak mu się podobało i potrzebował pieniędzy!..

Sąd skazał go na karę śmierci przez powieszenie. Po wyroku przewieziono zbója do więzienia karnego na Św. Krzyżu. Nie dał za wygraną!

— Jeszcze chcę trochę pożyć! Albo mi tu źle? — mówił do stra żników.

Zaapelował. Sąd Apelacyjny wyrok poprzedni zatwierdził.

— Jeszcze mam czas! — drwił sobie Szpieg.

Założył kasację. Sąd Najwyższy ją odrzucił.

— Jeszcze nie wszystko straco ne! — mawiał z pewną miną.

Odwołał się przez swą obronę do łaski P. Prezydenta Rzplitej. Bez skutku! Z kancelarji cywilnej nadeszła odpowiedź, że prośba nie została uwzględniona.

Nie wiedział jeszcze o niej ska zany, gdy już w więzieniu bawił kat, by wyrok wykonać.

O świcie 15 lipca 1931 roku skutego w kajdanach skazańca wyprowadziła straż więzienna na miejsce kaźni. Gdy ujrzał szubienicę, domyślił się, co go czeka. Zbladł i już niezbyt pewnym krokiem szedł dalej.

Na miejscu czekał prokurator, naczelnik więzienia, lekarz i duchowny. Na uboczu stała orkiestra więzienna, która miała rozkaz grać, jeśli skazaniec zachowywałby się zbyt głośno. Jego krzyk mógł wywołać bunt więźniów, a tego władze pragnęły uniknąć.

Prokurator odczytał dobrze Szpiegowi znany wyrok, zawiadomił skazańca, że stał się on prawomocny i zapytał go, jakie ma ostatnie życzenie?

— Dajcie mi się wody napić!

Strażnicy przynieśli wodę i roz kuli skazańca. Chwycił szybko szklankę i łapczywie zaczął pić. Wypił. Znów kajdany oplotły mu ręce. Już go mieli pcdprowadzić na szafot, gdy Szpieg zaczął prosić:

— Panie prokuratorze! Nie mo głem pożegnać się z rodziną, pozwólcie więc mi napisać list pożegnalny.

— Nie mam nic przeciwko temu!

Znów zdjęto Szpiegowi kajdany i zabrał się do pisania. List był krótki, mniej więcej tej treści:

„Drodzy Moi! Zawiadamiam Was, że kara nie została mi darowana. List ten piszę na miejscu straceń. Za kilka chwil już nie będę żył. Żegnam Was wszystkich! Kazimierz".

— Skończone! Mogę iść!

Po nałożeniu kajdan dozorcy zawiązali mu oczy. Uszedł w ten sposób kilka kroków w stronę szubienicy i nagle ogarnęło go to dziwne wzruszenie:

— Panie prokuratorze! Jeszcze raz chce spojrzeć na słonko! Odwiążcie mi oczy!

I tę prośbę prokurator uwzględnił, a dozorcy szybko wykonali. Twarz Szpiega wyglądała strasznie. Błędnym wzrokiem patrzył ku niebu, coś mówił, jakby się że gnał, ale słowa brzmiały niezrozumiale.

— Zawiązać oczy! — padł po chwili rozkaz prokuratora. Panie wykonawco, proszę wyrok wykonać!

Kat zajął się skazańcem.

Szpieg nie stawiał oporu. Dał się wprowadzić na schodki szubienicy Stał pod słupem pewnie, o własnej sile. Zanim mu kat zarzucił sznur na szyję, powiedział jeszcze:

— Gdybym wiedział, że nie będę ułaskawiony, uciekłbym dziś w nocy z więzienia!

To były jego ostatnie słowa, po których nastąpiła ucieczka, ale od życia.

Na cmentarzu klasztora święto krzyskiego znajduje się mogiła, w której do wiecznego spoczynku złożone są prochy strasznego zbója. Miał on przed śmiercią ży czenie, aby pożegnać się ze słonkiem!..

Jack Bury.

Co się dzieje w tej Warszawie!
100 najciekawszych wydarzeń
tragicznych i komicznych z ostatnich lat w Warszawie

SEKRET ZAWODOWY

Mówiliśmy właśnie o sekretach zawodowych, zdania były, jak zwykle, podzielone. Nasza cza rująca gospodyni nagle zwróciła się do siedzącego na uboczu znanego lekarza:

— No, a pan nic, panie doktorze? Pan przecież ma tu najwięcej do powiedzenia.

Lekarz uśmiechnął się i spokoj nie strząsnął popiół z papierosa:

— Widzi pani, lekarze to trochę, jak żołnierze. Różnica ta tyl ko, że dla niego niema zawieszenia broni. Jest obowiązek i przepisy — trzeba się do tego ślepo zastosować. Przypominam sobie jednak jeden fakt...

— O doskonale, — ucieszyły się obecne panie. — Jakieś wspomnienie! Niech pan to nam opowie!

— Tylko to jest bardzo, bardzo dawna historja. Miałem wtedy, bo ja wiem, może osiem, może dziewięć lat... Już wtedy marzy łem o karjerze lekarskiej. Duży wpływ na mnie wywarł przykład mego ojca, który był znanym spe cjalistą chorób nerwowych. Obijały mi się o uszy rozmaite nazwy fachowe. — Co mi jednak naj bardziej utkwiło w pamięci — to taniec św. Wita. Nie zwracałem uwagi na wyjaśnienia rodziców, że to nic zabawnego. Wyobrażałem sobie jakiegoś zacnego świętego, z brodą i w powłóczystych szatach, który naraz rzuca w kąt swoją aureolę i puszcza się w jakiś taniec, wesoły, fantazyjny, coś między oberkiem i kozakiem. Ma rzyłem zawsze, żeby zobaczyć ko goś w tranie tańca św. Wita. Tak marzyłem, aż się stało.

Moja matka miała jedną dobrą przyjaciółkę, młodszą o jakieś sześć lat. Na imię jej było Natalja. W owych czasach dwudziesto pięcioletnia panna była już prawie „starą panną". Była to wprost ostatnia dla niej chwila ożenku. Natalja miała właśnie dwadzieścia pięć lat. I Bóg jeden wie, czemu do tego wieku nie wy szła zamąż. To prawda, że jej ro dzice nie byli bardzo bogaci, ale rodzina bardzo dobra. Natalja by ła przystojna, zgrabna, miła... ale jakoś za cicha. Są takie kobiety, które mają wszystko, żeby się po dobać, ale cóż im brakuje, jakby pieprzyka, czy coś w tym rodzaju dość, że trwają niespostrzeżone. Do takiej właśnie kategorji można zaliczyć Natalję.

Moja matka powiedziała sobie, że musi dla swej przyjaciółki znaleźć męża. Przez długi czas jej swaty pozostały bez skutku. Już myślano, że Natalja umrze w pa nieńskim stanie, gdy pewna znajoma pani powiedziała matce, że ma kogoś dla Natalji.

Natalji proponowano wielu sta rych wdowców z kupą dzieci, albo schorzałych i zgrzybiałych tetryków. Tym razem, gdy usłyszała, że idzie o kawalera w wie ku lat dwudziestu ośmiu, aż się jej oczy zaświeciły!

Tylko coś tam mówiono, że ma jakieś takie nerwowe podrygi. Ojciec coś bąknął o tańcu św. Wi ta (nadstawiłem ucha)... Ostatecznie jednak zdecydowano urzą dzić spotkanie w naszem mieszkaniu. Specjalnie zaproszono jeszcze kilka osób. Spotkanie miało wyglądać na „przypadkowe".

Kandydat do ręki Natalji był przystojnym, szczupłym młodzieńcem, bardzo nieśmiałym i sztywnym. Siedział, jakby kij poł knął, od czasu do czasu bąknął słówko, cały czas uśmiechał się nieśmiało. Łagodne, czułe oczy, parę razy podniosły się na Natal ję, poczem utkwiły w filiżance. Po herbacie wstał, przeprosił ma mę i pożegnał się. Ojciec odprowadził go do przedpokoju, poczem przeprosił na chwilę i wró cił do salonu. Ja wślizgnąłem się za ojcem i z za kotary patrzałem ciekawie na gościa.

Gdy ojciec wyszedł, gość sądził, że został sam, bo przestał się nagle powstrzymywać i ujrzałem po raz pierwszy, jak wygląda choroba św. Wita. Zupełnie nie tak, jak sobie wyobrażałem: brwi podnosiły się i opadały bezustan ku, usta wyciągały się spazmaty cznie, głowa skakała literalnie we wszystkie strony... Nagle spostrzegł mnie, pohamował się i rzu cił mi spojrzenie, które do tej po ry pamiętam, tyle było w niem wstydu, błagania, rezygnacji i bó lu... W tej chwili wrócił ojciec. Wymknąłem się nieznacznie, ale słyszałem, jak ojciec go pytał o wrażenie.

— O, panna Natalja bardzo mi się podoba, bardzo, aż myślę, że to za dobre dla mnie — odpowie dział.

W salonie wymieniano wrażenia o gościu. Natalja była niezde cydowana. Ujrzawszy mnie, spytała:

— Jak ci się ten pan podoba?

Właśnie wszedł ojciec, myśląc, że to do niego, skierowane, rzekł:

— No wiesz, z tym tańcem św. Wita stanowczo przesadzono! Nic takiego nie widać w tym chło paku...

Ale Natalja patrzała na mnie. Już świerzbił mnie język, by opo wiedzieć o tem, co widziałem, ale przypomniałem sobie to błagalne, bolesne spojrzenie i odrzekłem: „Bardzo miły"...

Natalja żyła z nim bardzo szczęśliwie. Dzieci, które mieli, były wszystkie zdrowe...

Jutro 91-sze opowiadanie p. t. „Samotność".

Coś dla Pani



Przy pracy przy gospodarstwie, często kurz lub brud, dostają się za paznokietki pani ręki, tworząc brzydką, nieraz trudną do odmycia obwódkę. Zapobiegniemy temu wciskając paznokcie w kawałek mydła w ten sposób, aby nabrało się jego pod paznokcie. Po pracy, usuniemy mydło i paznokietki będą czyste.

Szczepko i Tońko

„Abrakadabra"... — oto zaklęcie, którego ponoć używali w średniowieczu czarnoksiężnicy.

Dzisiaj już przeżyła się „czarna magja" i wszystkie szatańskie sztuczki, ale istnieją jednak pewne magiczne słowa, które sugestjonują nas swem brzmieniem nastrojem, czy symbolem.

Bo, proszę państwa, naprzykład — jeżeli speaker wypowie w niedzielę przed mikrofonem lwowskim, ot tak, poprostu, jak gdyby nigdy nic, dwa słowa:

— Szczepko i Tońko!

...Skutek jest niezawodny.

Ale oto niedawno, (pewno już państwu jest to z gazet wiadome), zaszedł wypadek w życiu tej wesołej pary.

Niespodzianka zawitała tym razem nie przez nich, ale do nich.

Któregoś dnia wpada zziajany Szczepko na Tonka.

— Tonciu, ta ty nic nie wisz i na spacer się, o, z pieskiem wybierasz, a Tońciu nie wisz, że my do Gdyni, nad polskie morze jedziemy. Zbiraj się, a pieska zostaw.

— Szczypciu, ta co ty, oszalał, czy co? Ja nic nie poniał, co ty bałakasz.

— Tonciu, ta ty był durny i będziesz — do Gdyni jedziemy, ci mówię. Zaprosili i ciebie i mnie, o, o, jak się to nazywa: Gdynski Związek Propagandy Turystycznej. Ty rozumiesz, jaki to honor?

— Szczypciu, ta ty się nie gniewaj na mnie, ale mi powidz czy ja i te, o, ryby zobaczę, co sie tak nieprzyzwoicie nazywają, te o — flądry?

— Ta Tonku, co tobie flądry w gło wie, ty patrz, żeby ty oczu nie zgubił, jak odrazu w polskiem morzu tyle wo dy zobaczysz...

— Dobrze już Szczypciu, dobrze...

Pojechali. W Gdyni przyjmowano ich owacyjnie. Zresztą opowiedzą o tem w niedzielnej lwowskiej fali. W drodze powrotnej zawadzili o Warsza wę, gdzie zaproszono ich przed mikrofon warszawski, do „rozmaitości".

Szczepko tylko nie mógł się pogodzić z tem, że w Warszawie, ludzie ulicami chodzą jacyś smutni i przygnębieni.

— U nas we Lwowi, to bracie, każdy wesół, jak ryba!

— U nas we Lwowi, tyż bardzo pięk nie — dodaje nieodłączny Tońko.

Szczepko poza tem jest bardzo ambitny. Kiedy ktoś z entuzjastów zawo łał: — Jacy to mili chłopcy — Szczep ko grzecznie, ale z godnością poprawił:

— Chłopcy, prosze paniusi, to u sze wca, a my — panowie.

A teraz, zdradzę państwu, że te dwa lwowskie „batiary" — to student politechniki i aktor, Kazimierz Wajda (Szczepko) i młody prawnik Henryk Vogelfänger (Tońko).

RADJO

9.00 Sygnał czasu. 9.05 Gimnastyka 9.25 Muzyka z płyt. 10.00 Muzyka religijna. 10.30 Transmisja Nabożeństwa z Katedry Św. Jana w Warszawie. 12.15 Poranek muzyczny z Filharmonji Warszawskiej. 14.00 Pogadanka pszczelarska. 14.15 „Przegląd rynków produktów rolnych". 14.30 Muzyka lekka. 15.00 „Kiedy słońce przygrzeje". 15.20 Koncert muzyki lekkiej. 16.00 Słuchowisko dla dzieci. 16.30 Kwadrans słynnych artystów. 17.00 „Dziecko a alkohol". 17.15 Koncert muzyki ludowej. 18.00 Słuchowisko 19.05 Rozmaitości. 19.30 Radjotygodnik dla młodzieży. 19.52 Koncert wieczorny 21.00 „Felieton prawie podróżniczy". 21.15 „Na wesołej lwowskiej fali". 22.25 Muzyka taneczna z kawiarni „Gastronomja".

Marzec
11
NIEDZIELA
Konstantego

Ze sportu

Kalendarzyk sportowy na dzień dzisiejszy.

Godz. 11. boisko Podchorążówki: Maraton—Łobzowianka, sędzia p. Bartyzel. G. 11. boisko Podgórza: Wawel—Podgórze s. p. Sławikowski. G. 11. boisko Grzegórzeckiego: Nadwiślan — Grzegórzecki s. p. Schimscheiner, G. 11. boisko Olszy: Wisła I. B.—Olsza s. p. Knobel. G. 11·30 boisko Wisły: Krowodrza—Wisła lig. s. p. dr. Rumpler. G. 13·30 boisko Cracovii: Unia —Cracovia I. B. s. p. Königsberger. G. 15. 2. p. lot. Prądniczanka— Rakowiczanka sędzia p. Grodzicki. G. 15·15 b. Cracovii: Pogoń (Katowice)—Cracovia s. p. Lieberman.

Gry sportowe w Krakowie.

W dniu dzisiejszym o g. 17. w sali Sokoła odbędzie się dokończenie zawodów w koszykówce o puhar P. T. G. Sokół. Do finału zakwalifikowały się drużyny: Cracovia, Sokół i Wawel. Ze względu na dobrą formę finalistów zawody te zapowiadają się interesująco.

Kradzież w Wyższem Studjum Handlowem w Krakowie

W gmachu Wyższego Studjum Handlowego w Krakowie przy ul. Sienkiewicza grasował onegdaj jakiś nieznany złodziej, który z garderoby, mieszczącej się w klatce schodowej, skradł na szkodę słuchaczów tej uczelni, dwa płaszcze, kapelusz i rękawiczki ogólnej wart. 450 zł.

O kradzieży zawiadomiono policję, która wszczęła dochodzenie.

Tajemnicza samobójczyni na torze kolej. pod Krakowem

Powracająca autem z Bielska do Krakowa p. inż. Stawicka z Zakopanego, znalazła wczoraj obok toru kolejowego za Kalwarją jakąś młodą kobietę, leżącą bez przytomności.

Kobieta ta, ubrana była w zniszczony płaszcz granatowy, a na głowie miała beret identycznego koloru. Obok denatki leżała zniszczona torebka, w której znaleziono tylko chusteczkę do nosa i kwotę 5.60. Ponadto torebka zawierała fotografję starszego mężczyzny w mundurze oficera, a fotografja ta była oprawiona w małe ramki. Wreszcie w pewnej odległości od samobójczyni leżała flaszeczka esencji octowej.

Po dokładnem zbadaniu okazało się, że dziewczyna jest średniego wzrostu, o włosach jasno-blond i ma sukienkę granatową z zielonem obszyciem. W kieszeni sukienki stwierdzono bilet III. klasy poc. osob. wydany w Zatorze do Krakowa.

Nieprzytomną samobójczynię zabrała p. Stawicka i odwiozła autem do szpitala św. Łazarza w Krakowie. Lekarze orzekli, że stan zagadkowej samobójczyni jest bardzo groźny. Nazwiska niedoszłej denatki nie zdołano jeszcze ustalić, albowiem mimo poszukiwa9, nie znaleziono żadnych dokumentów.

KRONIKA KRAKOWA

200 tys. zł. na uporządkowanie peryferyj Krakowa

W dalszym ciągu posiedzenia budżetowego Magistratu m. Krakowa dokończono dyskusję nad Działem wydatków zwyczajnych, poczem przystąpiono do obrad nad budżetem nadzwyczajnym, uchwalając Dział dochodów i wydatków.

Następnie uchwalił Magistrat budżety : przedsiębiorstw komunalnych, teatru, szpitali, zakładów opiekuńczych oraz fundacyj miejskich, kończąc w ten sposób pracę nad całokształtem budżetu Gminy na przyszły rok budżetowy. Uchwalony budżet w najbliższym czasie wejdzie pod obrady komisji budżetowo-skarbowej Rady miejskiej.

W proponowanym preliminarzu budżetowym na specjalną uwagę zasługuje kwota 200.000 złotych, wstawiona w Dziale wydatków nadzwyczajnych jako dotacja Gminy, przeznaczona na wydatki, związane z uporządkowaniem dzielnic przyłączonych. Dotacja ta stanowić ma zaczątek funduszu specjalnego, z którego pokrywane będą wszelkie inwestycje drogowe, kanałowe itp., jakie stopniowo przeprowadzać będzie Zarząd Miejski we wspomnianych dzielnicach.

Echa defraudacji na Poczcie w Krakowie

W związku z pogłoskami o nadużyciach na Poczcie Głównej w Krakowie dowiadujemy się, że defraudacja popełniona została w kancelarji Dyrekcji Poczt i Telegrafów przy ul. Warszawskiej. Popełnił ją kierownik kancelarji głównej Dyrekcji Poczt i Tel., Ignacy Jarmuła. Na ślad nadużyć Jarmuły natrafiła rewizja, przeprowadzona z ramienia okręgowej Izby Kontroli Państwa w Krakowie.

Sprzeniewierzona kwota sięga kilku tysięcy złotych, która jednak została niemal w całości zwrócona. Sprawca defraudacji Jarmuła został zawieszony w urzędowaniu. Wytoczono mu dochodzenie dyscyplinarne a równocześnie o defraudacji zawiadomiono prokuraturę.

Nadmienić wreszcie należy, że nieprawdziwe są pogłoski, jakoby w tę aferę zamieszany był kontroler głównego Urzędu Pocztowego w Krakowie p. Steinfels, jak o tem mylnie nas poinformowano.

Wypadek kajakowców pod Norbertankami

Dwaj młodzi Krakowianie, korzystając z wyjątkowo pięknego dnia marcowego, wybrali się w piątek w południe na wycieczkę kajakiem po Wiśle.

Gdy młodzieńcy znaleźli się na Wiśle pod klasztorem Norbertanek, omal nie przyszło do katastrofy. Jadący bowiem zostali porwani silnym prądem rzeecznym i wpadli na tak zwaną „skałę djabelską“. Kajak przewrócił się, a nabrawszy wody, poszedł na dno. Młodzieńcy niesieni silnym prądem, dotarli jednak szczęśliwie do brzegu dębnickiego.

Zatopiony kajak wyciągnięto z wody po długich trudach. Do jazdy jednak kajak był niezdatny, albowiem na bocznej ścianie widniała duża dziura wybita przez skałę.

Zarząd plant krakowskich przed sądem

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne silną wichurę, jaka pewnej niedzieli w maju ubiegłego roku szalała nad Krakowem. Wówczas to, jak wiadomo, konar kasztana plantacyjnego oderwał się nagle i upadł do ogródka restauracji „Pavillon na plantach u wylotu ul. Szczepańskiej.

Na szczęście, konar ten, który ważył podobno paręset kilogramów, nie wyrządził większej szkody, bo tylko poranił lekko jedną z siedzących tam pań, którą natychmiast przewieziono do lecznicy, gdzie wróciła do zdrowia.

Epilog tego wypadku rozgrywał się teraz w krakowskim Sądzie cywilnym. Poszkodowana bowiem kobieta domaga się od Zarządu plantacyj 900 zł. tytułem odszkodowania za leczenie i aż 50.000 tysięcy zł., jako odszkodowania za ból, przestrach i tym podobne następstwa wichru, który nie powstał z winy władz plantacyjnych.

Wyrok w tym ciekawym sporze jeszcze nie zapadł, albowiem sędzia odroczył. rozprawę celem przesłuchania nowych świadków oraz rzeczoznawców i fachowców

Konduktor oskarżony o ułatwienie jazdy na „gapę“

Niejaki Karol Janicki, konduktor kolej. z Oświęcimia, pełniąc służbę w pociągu, zdążającym w nocy z 18 na 19 listopada 1933 r. ze Lwowa do Krakowa zauważył, że w Gródku Jagiellońskim wsiedli do wagonu dwie osoby, które nie miały biletów.

Konduktor wylegitymował podróżnych, którymi były: Jan Czaban i Helena Bereżińska. Janicki wezwał ich, aby kupili bilety, a na to pasażerowie odrzekli, że nie mają pieniędzy, oprócz 5-ciu złotych. Pieniądze te wręczyli konduktorowi, obiecując, że resztę dopłacą na stacji w Bochni, gdyż tam czekać będą ich krewni.

Po przybyciu pociągu do Bochni, Czaban i Bereżińska wysiedli szybko z wagonu i poczęli uciekać. Aresztowano ich jednak za jazdę bez biletu „na gapę“, a konduktora Janickiego pociągnięto do odpowiedzialności karnej za wzięcie łapówki w kwocie 5 zł.

Oskarżony o to przestępstwo Janicki stanął wczoraj przed Trybunałem Sądu karnego w Krakowie. Przesłuchany na rozprawie, osk. Janicki nie poczuwał się do winy, choć świadkowie : Czaban i Bereżińska twierdzili, że wziął od nich 5 zł.

W wyniku rozprawy, osk. Janicki skazany został za ten czyn na 8 mies. więzienia z zawieszeniem wykonania kary na 2 lata. Obrońca skazanego adw. Fensterblau zapowiedział apelację.

Zamach samobójczy w kawiarni „Esplanada“

Wczoraj po godzinie 10-tej wieczorem znana kawiarnia krakowska „Esplanada“ była widownią zamachu samobójczego młodej kobiety.

W krytycznym czasie przy jednym stoliku sali koncertowej w „Esplanadzie“ siedziała samotnie 24-letnia Halina Urbankówna w żałobnym kostjumie. Nagle Urbankówna wyjęła z torebki flaszeczkę i szybko wypiła jej zawartość, poczem upadła na podłogę.

Obecni w kawiarni lekarze pospieszyli z pomocą i stwierdzili zamach samobójczy, popełniony przez wypicie nieznanej bliżej trucizny.

Do nieszczęśliwej desperatki wezwano natychmiast pogotowie ratunkowe. które w groźnym stanie przewiozło Urbankównę do szpitala.

Dokładnego powodu desperackiego kroku Urbankówny nie zdołano ustalić. Prawdopodobnie przyczyną samobójstwa był zawód miłosny.

Kierownik firmy „Artigraph“ przed sądem

W dniu wczorajszym w krakowskim Sądzie okręg. karnym odbyło się dokończenie znanej już rozprawy przeciw b. kierownikowi firmy „Artigraph“ w Krakowie przy ul. Prądnickiej 65.

W swoim bowiem czasie ówczesny kierownik tej firmy, niejaki Jan Dosiek, urodzony w Czechosłowacji, a zam. obecnie w Krakowie przy ul. Wrocławskiej 5, zaniedbał dozoru nad maszynami litograficznemi i to niedbalstwo stało się przyczyną nieszczęśliwego wypadku, któremu uległ robotnik Mieczysław Guzik, pracujący w tym zakładzie. Guzikowi porwała maszyna prawą rękę i skutkiem tego stracił jeden palec.

Postawiony przed Sądem Dosiek tłumaczył się, że nie ponosi winy za wypadek, który zdarzył się przypadkowo.

Sąd po przeprowadzonej rozprawie uniewinnił osk. Dośka od winy i kary.

Rozpr. przew. s. o. dr Zalipski, oskarżał prok. dr Mrazek, bronił adw. Józef Woźniakowski.

Repertuar teatrów krakowskich

Teatr im. J. Słowackiego

Niedziela pop. „Ładna historja“, 7.30 wiecz. „Judasz z Kariothu“.

Teatr Żydowski (Bocheńska 7)

występy A. Lerner i D. Zajdermana Niedziela 4 pop. i 8.45 wiecz. „Na dworze cadyka“.

Co grają w kinach krakowskich?

Adria: „12 krzeseł“
Apollo Prywatne życie Henryka VIII
Atlantic: „Kawalkada i dziewczę z krainy burz“
Dom Żołnierza: „Włóczęga“
Muzeum: „Chandu“
Promień: „Jasnowłosy sen“
Sztuka: „Klub dżentelmenów“
Słonko: „Quo vadis ?“
Uciecha. „Marsz Rakoczego

RADJO

Niedziela, 11 marca 1934 r.

Kraków. Godz, 9.00 Transm. z Warsz., 11.57 Hejnał, 12.15 Poranek muzyczny, 14.15 Transm. z Warsz., 14,30 Muzyka, 15.00 „Kobieta a sport“, 15.20 Transm. z Warsz., 16.45 Transm. z Warsz.. 19.05 Rozmaitości, 19,15 Odczyt, 19.30 Radjotygodnik, 19.45 Wiadomości bież., 19.50 Transm. z Warsz., 21.15 „Na wesołej fali lwowskiej. 22.15 Wiadom. sport. 22.25 Muzyka , 23.00 Transm. z Warszawy,

Nocny i dzienny dyżur aptek :

Apteka pod Złotą Głową Rynek 13, pod Trzema Koronami Retoryka 1, Czternasta Lubicz 7, Stradom 6, im. Król. Jadwigi Karmelicka 9.

Podgórze pod Hygeą Kalwaryjska 27.

Dzienny dyżur aptek :

Apteka pod Białym Orłem Rynek A—B 55, Łobzowska 6, pod św. Kingą Grzegórzecka 9, pod Złotym Lwem Długa 4, pod Murzynem Krakowska 19, Podgórze pod Orłem Plac Zgody 18.

Dzienne dyżury lekarskie:

Dr Gradziński A. Starowiślna 20 tel. 139-75, dr Jurkowicz A. Wrzesińska 9 tel. 134-80, dr Nowak Tad. Józefitów 21, dr Ralski L. Zyblikiewicza 5.

Nocne dyżury lekarskie

Dr Ćwikliński A. Kraszewskiego 12, tel. 102-51, dr Goldman A. Wielopole 11 tel. 176-95, dr Singer H. Sarego 19 dr Stanowski J. Łobzowska 45.

Nieostrożny szofer potrącił robotnika

Wczoraj po południu przed jednym z domów przy ul. św. Marka zajęty był przy składaniu węgla 27-letni robotnik Tomasz Machaczek, zam. przy ul. Król. Jadwigi 129.

W pewnej chwili od strony ul. Florjańskiej wjechał w ulicę św. Marka samochód osobowy Nr. Kr. 9609, prowadzony przez szofera, którego nazwiska jeszcze nie ustalono,

Szofer jechał jednak nieostrożnie i potrącił autem pracującego Machaczka. Robotnik upadł na jezdnię i doznał dotkliwego potłuczenia prawej nogi.

Nieostrożny szofer zbiegł po wypadku, a Machaczkowi udzielił pomocy lekarz pogotowia.

Włamywacz w klinice chorób wewn. przy ul. Kopernika

Wczoraj przedpołudniem do szatni sali wykładowej uniwersyteckiej kliniki chorób wewnętrznych przy ul. Kopernika 15 dostał się niespostrzeżenie jakiś niewyśledzony dotychczas sprawca, który skradł futro damskie, wart. 1.200 zł. na szkodę Julji Lubaczewskiej studentki Uniwersytetu Jag., zam. przy ul. Florjańskiej 5.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków ul. Na Gródku 2 — Telefon 173-02 (od godz. 8—11 w poł.)

CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej cała strona 800 zł., pół strony 500 zł. 1 wiersz mm. 50 gr. Drobne 15 gr. za wyraz.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Alfred Kwiatkowski. Drukarnia Monopol, Kraków, Na Gródku 2.